8. Marca. **Nr. 19.** 1868 roku.

Wychodzi w **niedzielę**, z dodatkiem **muzykaljów, mód, wzorów i krojów.**
Cena:
kwartalnie . . . . **1** złr.
półrocznie . . . . **2** „
rocznie . . . . **4** „
Z dodatkiem:
kwartalnie **2** złr., półrocznie **4** złr., rocznie **8** złr. Za przesyłkę pocztową dolicza się **15** ct. kwartalnie.
Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką **60** ct.
— z dodatkiem **1** złr. **10** ct.

NOWINY

pismo tygodniowe
z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie w drukarni **Kornela Pillera.**
Reklamacje nieopieczętowane nie cpłacają się.
Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

NA STEPIE.

Pomówka kozacka

przez

Paulina Stachurskiego.

(Dokończenie.)

Wysiadł Hnat z łódki, wyszedł i Dmytro na brzeg; nie wiedzą o sobie, a jeden i drugi kozak jednakowo zamyślił się: Po jakiego biesa wyszedł z Siczy? i co zrobi z dziewczyną?... Kozackiego życia ledwie zaprobował; żal by mu go porzucać... a z żoną nie pokazuj się do Kosza! Nie tak kozakowi szkoda dziewczyny, jak tego, że ten drugi może ją zabrać, niby swoją... Pokarał że *Hospod'* ciężkim wrogiem! — A prawdę mówiąc: i wróg to nie wielki... Hnat dobrze pamięta: kto go z wody wyciągnął; a Dmytrowi także w oczach stoi: jak leciałby pod niebo, gdyby nie pomoc Hnata... Licho nadało z tą tam dziewczyną stepową! bo lepszego druha może by i nie znalazł, jak ten kozak... Ha, niech tam robi jak chce! Porzuci Sicz — mnie lżej będzie! nie porzuci... jakoś pomyślimy!... A teraz by mi do swoich. Tam czeka ojciec i matka, mały braciszek i siostra... Dziewcząt dość na świecie — a matkę i ojca, innych, nie znaleźć!

Jeden i drugi pomyślał jednakowo; jeden i drugi minął step i pamiętną strugę, jadąc do swoich; aż hen na Bohu spotkali się razem.

— Nie był u Handzi — mruknął Dmytro, dojrzawszy Hnata.

— Licho go tam nie poniosło — wtóruje mu Hnat, wesoły, że poszło po jego dumce...

— Teraz by mi jego wyprzedzić!
— Sprawić się prędzej, i do Handzi!
— Ba! a cóż z nią zrobię? — pyta siebie Dmytro.
— Sicz, czy żona? — rozważa Hnat po drodze.
— Obaczymy!
— Obaczymy!

Znowu się rozeszli.

. . . .

Tak to się zdaje: być u śmierci w gościnie, wojować na morzu i na lądzie — obaczyć swoich i dalej nazad! Sprawa nie łatwa.

Zanim to się na młodych kozaków napatrzyli rodzice, nacałowały matki i siostry; bracia i towarzysze rozpytali o uzbrojenie, życie i siczowe zwyczaje — przeszło czasu nie mało! Ani się opatrzyli Hnat i Dmytro jak parę niedziel minęło — czas wracać na Zaporoże! czas pokończyć z termołamą... którą jednak nie pokazali nikomu! Termołamę kozak chowa dla kogo innego...

Nie przyszło ono łatwo; ale przecież pożegnali kozacy rodzinę, i dalej — prosto na step, do futoru! Raz już trzeba zrobić koniec z termołamą — niechaj nie zawadza!

A na futorze nie mniej ani więcej, tylko — wesele.

Młoda para ledwie co wróciła z cerkwi; drużki kończą weselne pieśni.

Młodych posadzili za stół. — Nu już para dobrana! Świat zejdziesz — kto wie: czy znalazł by drugą podobną. A co gości, dziewcząt, parobków! a muzykantów — aż cztérech, i to najlepszych! Jadła, trunków — co tylko dusza zapragnie! Wszystkiego dostatkiem.

Wśród wesołego gwaru umilkły pieśni weselne; a tu jak nie hukną parobcy: *„Zdorowa-b kniahynia i kniaź mołodyj!“* aż się ziemia zatrzęsła.

Młodzi kłaniają się gościom, w oczach ojców świecą łzy szczęścia...

Ozwała się muzyka! Jak się rozchodzili młodzi i starzy — tańcować i tańcować! ledwie chaty nie roznieśli... Nikt i nie widzi, że jak dwie chmury — dwa wrone konie przed chatą, i niby na słowo stają przed weselnymi — Hnat i Dmytro.

— Co tu! co tu? — krzyknęli, a jeden i drugi zbladł jak chusta — nie mają nawet czasu popatrzeć się na siebie zajadłem okiem.

— A coż by — odpowiada starosta — wesele!
— Wesele! — ryknął Dmytro. — A ja? — i do Handzi!

— A ja? — w jeden głos Hnat mu dopowiada.

Poznała-ż Handzia kozaków z nad strugi! tuli się do boku Wasyla...

— Stawaj do rozprawy, kto śmie zabierać moją dziewczynę!

— Słowo nie wiatr! — krzyczy drugi kozak.

Wszyscy poniemieli.

— Tatusiu! — przyszła do siebie Handzia. — Tatusiu! to oni! Biednaż moja głowa!

— Nie bój się doniu — odpowiada ojciec. — Ja staję do rozprawy.

— A czego chcą panowie mołojcy, i co za jedni?

— Niech ona odpowie — woła Hnat, pokazując na Handzię. — Ja nie darem tłukł się po bisurmanach.

— Ot tu termołama — mówi Dmytro, rzucając na stół materję — dziewczyna moja.

— Abo moja! bo i ja nie przyszedłem z próżnemi rękami — i sobie dobywa termołamę.

— Hij na was! — woła Kłym — a czegoż wy chcecie?

— Dziewczyny!

— Dziewczyny! — mówią obadwa.

— Ta dwóch do jednej? Opamiętajcie się!...

— Dwóch? — zmiarkował się Dmytro. — To niechaj wybiera!

— Dobrze, wybieraj! — przystaje Hnat.

— Nie chcę, żadnego nie chcę! Ja mam Wasyla! — ze łzami woła Handzia.

— Ba, sztuka! — na to jej kozacy — my pierwsi...— i nastają na dziewczynę.

Kto wie co byłoby jeszcze, gdyby przed siczowych nie wystąpił Artem.

— *Wytajte panowe mołodci!* — powiada. — Może bym ja mógł wam stanąć w przygodzie. Jakże to było?

Nie dobrze robi się kozakom... trochę wstyd Artema.

— Dziewczyna — mówił stary kozak — no, odrzucić trudno... Ale jakże będzie z Siczą?... Coś pomilkli mołodcy... Mówcie, bo my wiedzieć radzi.

Trudno kozakom.. Jeden i drugi chciałby być o sto mil od futoru... Co tu odpowiedzieć Artemowi?

Wyręczyła ich Handzia opowiadając: jak dla pozbycia się napastnych wymyśliła termołamę; jak jej ani w dumce nie powstało, żeby to wszystko miało być prawdą; jak jej oba kozacy nie mili, bo ona tylko chce Wasyla, i jego nie zamienia za wszystkich siczowych...

— Hm! — mruknął Artem. — Słowo nie wiatr — powiedziano!... A nu pokażcie termołamę. Materja piękna... Chodź no tu Handziu! zmierz czy na spodnicę starczy... (A sam się uśmiecha. Rozumny stary!) Nie wyjdzie jak na połowę... To już Dmytro nie ma nic do dziewczyny! A teraz obaczmy termołamę Hnata... Tak samo tylko pół spodnicy... Ot i daremnie narobili krzyku! We dwóch dopiero przywieźli, co miał przywieźć jeden — we dwóch że chyba wziąść wam młodą Handzię? — ale tak i pomiędzy turkami nie bywa!... Coż teraz będzie? mołojcy!

— A nic! — odpowiada Dmytro, rad w duszy, że tak się skończyło.

— Czort wiedział, że tego na spodnicę nie wystarczy — pomruknął Hnat gniewny, że ponoś na durnia wyszedł.

— Coż by wam teraz robić dalej? — pyta Artem.

— A coż! pojedziemy jak przyjechali. *Buwajte zdorowi!*

— U mnie inna dumka — powiada Hnat do Artema. — Zostanę na weselu!

— I ty zostań, Dmytrze! Widzisz jak *kniahynia* zaprasza cię okiem...

— Kniahynia! — popatrzył weselej kozak. — Ja nie siczowy, kiedy widział gdzie ładniejszą! Zostanę, a termołama niechaj jej choć na rantuch służy.

— Razem z moją — powiada Hnat — będzie dość na spodnicę.

— Niechaj zchodzi zdrowa!

— *Sokoły moji!* — woła Artem. — To już przystali do nas?

— A no! czemużby żałować serca dobrym ludziom, a nóg do tańca. *Hraj muzyko!* Ja z młodą przód wiodę!

— A mnie choćby i ta drużka! — mówi Hnat wesoło, i staje w drugiej parze.

Jak się nie wysypią pary na podwórze! jak nie zaczną tańczyć — aż mogiłom weselej.

No już dokazywali w tańcu Dmytro i Hnat! Tam czort w nich chyba siedział. Jak zaczęli wyrabiać różne figle a dogadywać w tańcu — to wszyscy mało nie popłakali się ze śmiechu; a dalej przyszło im do głowy: ubrać Handzię w termołamę... — Ubrać, taj ubrać!

Oto już wyglądała — niby słońce jasne!... Starzy i młodzi podurzeli, patrząc na krasawicę.

Kiedy już wszystkim było tak na sercu, że ściskali się ze łzami i całowali wzajemnie, wystąpił stary Artem.

— *Hnate! Dmytro!* — rzekł ze łzami — rzućcie raz do czorta swarki! podajcie ręce na bractwo. Wziął Wasyl Handzię — nie ma spierać się o co. *Hołuby moji!* pocieszcie starego i nas wszystkich.

Nie długo myśleli kozacy, i padli sobie w ramiona.

— Miał ja cię dawno w sercu — mówi Hnat do Dmytra.

— I mnie było źle bez ciebie! — odpowiada Dmytro.

— Razem!

— Na wieki!

Co tam było radości! co wesela! Popłakali się wszyscy; a jak później hulali!... Podkowy pogubili, obcasów nie stało! Na podwórzu ubili ziemię na łokieć, aż trzeba było przenieść się z tańcem w inne miejsce.

Nazajutrz weselni goście poprowadzili Hnata i Dmytra do cerkwi, i byli świadkami ich przysięgi n a b r a c t w o — a później nazad do Kłyma!

Hulali bez ustanku jeszcze dni cztery. Piątego dnia mało kto nie legł z przepicia, a wielu poodjeżdżało do domu.

Hnat i Dmytro trzeźwi weszli do świetlicy.

Wasyl z Handzią hołubią się, szczęśliwi; ojcowie i stary Artem patrzą na młodych, łzy świecą im w oczach.

— *Zdorowi mołodci!* A jak tam po hulance?

— Jak zwyczajnie. Ot czas nam bat'ku na Zaporoże — dosyć zabawy!

— Już jedziecie? — pyta Handzia żałośnie.

— Wiek by przy tobie zostać chcieli, ale Wasyl nie pozwala — żartuje sobie Dmytro.

— *Buwajte zdorowi!* — żegna się Hnat. — Czas w drogę.

— To nie chcecie zostać? — pyta Kłym kozaków.

— *Ne prychodyt'cia!* Trzeba zajrzeć na Sicz.

— Jedźcie-ż z Bogiem!

— A nie zapominajcie o nas! — dodaje Handzia.

— Nie tak łatwo zapomnieć... Ot, może i szkoda, że nie przywiózł całej spodnicy — mówi żartem Dmytro.

— I tak już byłoby za późno! — odpowiada Kłym, żegnając kozaków.

— *Proszczawajte!*

— *Z Bohom!*

Wsiedli na koń! pokłonili się gospodzie; jeden drugi rzucił okiem na Handzię... pojechali!

Starzy patrzą w ślad za kozakami; patrzy Wasyl i Handzia... Chwaty, że trudno!

Postali czas jakiś; Wasyl spojrzał na Handzię — rzuciła mu się na szyję... Szepnęli czarowne słówko, Wasyl złożył gorący pocałunek na ustach żony, i poszli do chaty.

Młoda para już na swojem gospodarstwie. Hnat i Dmytro w Siczy.

Sławni to rycerze! Wiele, wiele miałbym o nich do powiedzenia; ale mię doszły wieści, że krasawicom przykrzy się już moja »pomówka...« Ha! trudna rada!... Kraj inny — ludzie inni!... Tam na stepie, u ojczystych mogił, wiem, że mnie by słuchano... Tutaj opowieść stepowa nie bardzo przypada do serca... Toż bywajcie zdrowi! Innym razem może opowiem dalsze przygody pobratów.

Koniec.

IDEA.

Chcecie bym mówił, abym ujął w słowa
Czucie, co w waszem wzburzonem drzy łonie,
Myśl, co ognista u czoła wam płonie?
Lecz gdzież się znajdzie taka ludzka mowa,
By to, co jest drzeniem,
To co iskrą, co promieniem,
Co przeczuciem, co nadzieją,
Wątłą, drżącą, jak liść kwiatu,
Niezachwianą jak opoka —
Mogła, śmiała, gdzieś z wysoka
Schwytać — po nad chmur koleją,
I w słów szacie stawić światu?...

Dziś, nie dla was pieśń pogrzebu,
Dziś, nie dla was rozpłakana
Rezygnacji cicha mowa;
Dziś, nie dla was nuta rwana,
Co w rospaczy bluźni Niebu —
Dziś, potrzebną wam pieśń nowa,
Pieśń promienna, jaśniejąca,
Tkana z barw wschodniego słońca
I z jaskrawych tęcz jutrzenki! —

I.

Jest potęga nad mocarzy
Ostrz bagnetów, i dział gromy;
Jest potęga, co podważy
Na krwi ludzkiej wzrosłe . . . . . —
Z niebios wzywa ją głos ludu,
Wieszcz na ziemię ją sprowadza,
Wzrasta jakby siłą cudu —
Dziś wyklęta — jutro władza!

Wiecież bracia jak się zowie
Ta Niebianka jasnolica,
Co widnokrąg nam rozświeca,
Gdy zabłyśnie w ludzkiej głowie?
Ta potęga, ta władczyni,
Co wszechwładne cuda czyni,
Bracia moi — to Idea! —

Żaden Władca Pan, co swemi
Knuty, wrażał trwogę ziemi —
Nie miał tylu niewolników,
Ani ofiar, ni żołnierzy,
Co Idea zwolenników,
Męczenników i szermierzy!

Patrzcie! blada tam gromada,
Nie ma złota, ani władzy,
Ani mieczem też nie włada;
Biedni, głodni, nawpół nadzy...
Lud z nich szydzi dookoła,
Pod topory chylą czoła —

Już upadli — już skonali! —
Przemoc szydzi — ciemń się śmieje...
Lecz ci zmarli, lecz ci mali
W świecie nową myśl zasiali:
Jedność Boga!

I to słowo wymówione
Gdzieś w podziemnem tam ukryciu,
Nagle na świat się rozleje,
I zakwitnie w pełnem życiu! —
A zbłąkana wpierw gromada
U stóp Krzyża w proch upada —
Zmarłych wiara wciąż się szerzy:
Świat w Jednego Boga wierzy!

II.

Lecz znów w świecie źle się dzieje
Ciemność rządzi — krew się leje:
Widne tylko mieczów blaski
Władców, co w krwawej purpurze
Rządzą ludźmi . . . . !
Słuszność tylko tam jest, w górze —
Niżej: motłoch ciemny, głupi;
Których władca drze i łupi —
Płacąc hojnie swe żołnierze,
Z ich pomocą kraje bierze. —
Ludy? Ludzie? O! tych nie ma!
Dla mocarzy cała ziemia,
Którą krają po kawale
Ku swej większej czci i chwale!

I znów staje zastęp mały
Potępionych myślicieli;
I znów na nich gniew swój cały
Wywrze przemoc — więc zginęli!

Ale po nich pozostało
Wielkie słowo! które siłą
Jakby iskry elektrycznej
Nagle w sercach się rozsiało —
I nad świeżą ich mogiłą
Po nad tłuszczy gwar ulicznej
Nowej myśli hasło brzmiało:
Wolność i Braterstwo! —

Lat dwadzieścia bój wrzał krwawy,
Padł bohater nieśmiertelny,
I z nim upadł naród dzielny
Nie zyskawszy — nic, prócz sławy!

Lecz Idei promień Boży,
O! zagasnąć on nie może!
Lat pięćdziesiąt ledwo mija
Jedna, druga, z tych idei
Na tron wchodzi po kolei,
Zwolna w głowach się rozwija.
Dziś bezkarnie car nie może
Lud mordować w Imie Boże!
Gdyż i ludzkość owa krwawa
Ma uznane swoje prawa!...

III.

Choć Bóg bracią nazwał ludy —
Brat uciskał dumnie brata,
Wyzyskiwał jego trudy,
Siłą miecza gniótł przez lata!
I jak ślepy na rozkazy
Śmiertelnemi miotał razy!

Miłość kraju zbrodnią była,
Grzechem była własna mowa;

Krew szlachetnych świat zbroczyła,
By z niej zeszła prawda nowa!

To, co cnotą było w Rzymie,
Z czego Grecja dawna słynie:
Duch poświęceń i ofiary,
Przywiązanie do swej ziemi,
Było zbrodnią godną kary
Dla Polaka, Węgra, Włocha,
Dla Litwina, Serba, Czecha. —
Co? On przodków mowę kocha?
On ojczystą ceni wiarę?
Jemu miła ojców strzecha?
On zwyczajną przerósł miarę?
Precz z zuchwalcem do podziemi!!!...

I brzęczały wciąż łańcuchy,
I krwi wciąż płynęło morze —
. . . .
. . . .
. . . .

Lecz z podziemi z razu głuchy
Płacz się ozwał. — Ci skazani
Jakieś słowo wymówili —
Słowo nowe! — I świat słucha —
I zwycięzca w tejże chwili
Sam w głębinach zadrżał ducha!...
I co lepsze — dzisiaj czuje
Że na świętość się targnięto:
Że Bóg ludów rząd sprawuje —
Że czcić trzeba władzę Świętą,
Władzę z gory — co na ziemi,
Jak sam Bóg nieśmiertelnemi,
Stworzyła narody świata!

Narodowości Idea
Z grobu narodów powstała,
I jak wiara krwią oblana
Jasna, wielka i świetlana.
Światu Prawdę ukazała! —

Dość więc płaczu! — My Polacy
Myśmy czasu nie stracili;
Krwawe było pole pracy —
Krwiąśmy nowy gmach wznosili!

O! nie płakać nam nad temi
Co polegli wśród katuszy —
Bohaterów plami łza!
Oni chlubą naszej ziemi,
Oni czuli wśród katuszy,
Że nie oni zwyciężeni!

Czyż chlubniejszy los być może
Niżli śmierć za ojców wiarę?
Niż nieść wolność na ofiarę
Za wieczyste Prawa Boże!?

O! nie boleć nam nad wami
Męczenników cny orszaku!
Lecz tam drogę słać palmami
Po sybirskim białym szlaku. —
Tam się nasze snują dzieje:
Tam Królowie, tam Hetmany,
Prawodawcy i Kapłany,
Z których mogił dziś nam dnieje! —
Nieprzerwana dziejów karta —
Nie splamiona — nie rozdarta!...

Myśmy jak Piotrowin z grobu
Na świadectwo Prawd stawali;
I nie znalazł wróg sposobu
Byśmy ducha zaprzedali!

Toż staniemy w ludów kole,
Staniem wielcy, czyści, biali,
Jako plemie z dzielnych dzielne,
Niosąc na wyniosłem czole
Boże piętno nieśmiertelne!

A co wiecznem stworzył Bóg,
Tego tyran nie zagładzi,
Temu siła nie poradzi,
Ani zniszczy światła wróg!...
Nie pomogą ni okowy,
Ni bagnety, ani działa,
Ani męczarń pomysł nowy,
Ni ukazy, ni rozkazy,
Ani zbirów moc zuchwała —
Gdyż rozkazał Stwórca — Bóg,
By na ziemi zwyciężyła
Siła d u c h a, a nie c i a ł a!

W proch przesądy! Precz ciemności! —
Precz niewola, ucisk, zdrada!
Wyrok Boży już zapada!
Idzie wiek Sprawiedliwości!
Nowa Era się zaczyna
Era sławy Słowianina,
I bratniej ludów miłości!!...

Juljan z P.

TEATR POLSKI.

Upadek sceny ojczystej, demoralizacja i niskie stanowisko jakie zajęli ludzie poświęcający się sztuce dramatycznej u nas, głęboko dały się uczuć ludziom pojmującym całą wielkość powołania artysty, i znaczenie teatru dla nas. Dzienniki były przepełnione artykułami, wykazującemi złe, jakie się zakradło do świątyni sztuki, ludzie wykształceni podnosili nieuniknioną potrzebę reformy; z gorączkowem upragnieniem wyczekiwano chwili, w której znajdzie się człowiek dobrej woli, usiłujący zapobiedz złemu... Przyszły ten reformator miał już zapewnioną sympatję wszystkich i chętną pomoc każdego.

Długo oczekiwany, stanął wreszcie pomiędzy nami człowiek dobrej woli podniesienia sztuki z upadku. Powitaliśmy go w osobie pana M i ł o s z a S z t e n g l a, który otworzył teatr w Stanisławowie.

Człowiek młody, kształcony za granicą w zawodzie dramatycznym, patrjota prawdziwy, odczuł on szlachetnem sercem chwilę o s t a t n i ą, w której działać należało, i nie zawahał się poświęcić celowi zdolności własne i mienie. Oparty o sympatję dziennikarstwa, literatów, którym dobro sceny leży na sercu, pan Sztengel wziął się do rzeczy, jak na wytrawnego męża przystało. Zrozumiał on, że dla tego, by sztukę i teatr wogóle podnieść z upadku, trzeba ominąć pół środki, a uderzyć w rdzeń rzeczy. Przyszłość sceny — to miał na oku młody dyrektor. Teatr wydźwignąć z upadku i podnieść do znaczenia świątyni sztuki, postawić aktorów w opinji wyżej, oddzieliwszy ziarno zdrowe od kąkolu, oczyścić repertoarz sceniczny ze śmiecia, które równało scenę z budą kuglarzów i skoczków, przedstawianiem rzeczy prawdziwej wartości obudzić w uczęszczających do teatru zamiłowanie do piękna i wykształ-

cić ich smak artystyczny, zgromadzić w swym teatrze ludzi godnych miana artystów, nie tylko aktorów, ale i ludzi... zwrócić całą uwagę na wartość moralną członków teatru — tego chciał dopiąć, i dopiął! wysileniem nie małem, poświęceniem bez granic — i tem samem zapisał swe imie głęboko w ziomków wdzięczności, godnie zasłużył na miano obywatela kraju!

Pan Sztengel zgromadził w swym teatrze najlepsze rozporządzalne siły artystyczne, otworzył pole do pracy talentom młodym. Oględny w wyborze, nie wpuścił do przybytku sztuki takich, którzyby życiem prywatnem uwłaczać jej mogli... i pierwszy raz od lat wielu stanął na ziemi polskiej teatr prawdziwie narodowy, bo nie zrywający z jego tradycyjną cnotą; pierwszy raz ujrzano pomiędzy aktorami ludzi z wykształceniem wyższem, pierwszy raz wreszcie nie tylko, że nie lekceważono sobie teatru, ale obaczono w nim prawdziwą dźwignię oświaty.

Rzecz niesłychana w dziejach teatru prowincjonalnego! aktorowie i aktorki nie mają skazy żadnej na swem życiu prywatnem; nie znają hulatyk, gry w karty, długów, szacherki, stosunków i stosuneczków... Pierwszy raz ujrzano aktorów oddanych wyłącznie pracy, studjom dramatycznym, i pierwszy też raz społeczeństwo otwarło ramiona i przyjęło w nie godnych pracowników na niwie ojczystej. Zginęły przesądy i uprzedzenia — teatr odzyskał należne mu prawa.

Czemuż przypisać tę gwałtowną przemianę? jak wytłumaczyć sobie, że całe lata składające się na zohydzenie nazwy aktora, potrafiły zatrzeć w wspomnieniu publiczności, kilka miesięcy? Co zrządziło, że teatr odrazu zajął przynależne mu stanowisko, otrząsnąwszy się z poniżających go śmieci? Czemu to wszystko przypisać mamy?... Oto dobrej woli jednego człowieka, usiłowaniom szlachetnym, chęci przysłużenia się krajowi!... Pan Sztengel wielką dał nam naukę! Jakże wysoko, w jak prędkim czasie moglibyśmy stanąć na wyżynie, gdyby podobnie jemu, każden z nas chęci swe ku dobremu skierował?... Miejmy nadzieję, że ziarno posiane młodą ręką, którą kierowało serce miłujące ojczyznę, że ziarno to wzejdzie, a dobry przykład nowych da nam siewaczów!

Przypominamy sobie pełne godności odezwy pana Sztengla. Rozwinął w nich pogląd swój na znaczenie teatru, wezwał chętnych do pracy, i gorąco polecił krajowi myśl, której urzeczywistnienie spoczywało w ręku jego obywateli.

Zawiedziony tyle razy w swych nadziejach, kraj obojętnie przyjął odezwę nowego dyrektora teatru — nowego przedsiębiorcy... a my ze smutkiem nie ośmielaliśmy się wróżyć mu powodzenia, nie przypuszczaliśmy nawet, by zacne chęci jego znalazły uznanie w publiczności... Omyliliśmy się! i z serca winszujemy sobie niesprawdzenia się smutnych przeczuć!

Że p. Sztengel nie uważał teatru jako prostej spekulacji, że mowa o poświęceniu mienia własnego nie jest przesadą — świadczy samo przystąpienie do dzieła. Restauracja sali, urzędzenia sceniczne, dekoracje, garderoba — nawet za bogata jak na prowincję — i wiele innych przyborów, kosztowały dość wiele; nareszcie zasługi personalu dają żywe świadectwo, że dyrektor nie oszczędzał się wcale. Oto gaża miesięczna artystystów: p. Kaliciński otrzymywał 120 złr., p. Deryng 80 złr., p. Sielski 60 złr., pani Lisikiewicz 50 złr. i t. d. Widzimy, że miesięczne utrzymanie czterech osób wynosiło 310 złr. — sumę, której inne dyrekcje teatrów prowincjonalnych nie wydają na cały personal; a liczba aktorów w teatrze p. Sztengla dochodziła niekiedy do 30 osób!...

Przedstawienia rozpoczął teatr p. Sztengla d. 16. marca 1867 r. *Mazepą* Słowackiego, pod którego wezwaniem stanął teatr. Nazajutrz dano *Zemstę* Fredry. Zadziwiły one publiczność w wysokim stopniu; oczom swym wierzyć nie chciano, że to są przedstawienia teatru prowincjonalnego; Wkrótce potem, bo 23. kwietnia stanął po raz pierwszy na scenie polskiej *Otello* Szekspira. (*Otella* grał p. Kaliciński, *Jagona* p. Sielski, *Desdemonę* pani Tomaszewicz.) Tak więc na co nie mogły się zdobyć teatra stołeczne, to przedstawił teatr prowincjonalny; a że gra aktorów nie musiała być złą — dowód leży w tem, że *Otello* stale odtąd był na repertoarzu teatru, i za każdem przedstawieniem wywoływał burzę oklasków w rozmaitych miastach Galicji.

Pierwszy to teatr polski, w którym nie spotykamy fars, błazeństw scenicznych, ale rzeczy prawdziwej wartości. Słowacki, Fredro, Korzeniowski, Syrokomla, Kraszewski, Magnuszewski; młodsi pisarze: Bałucki, Komorowski, Koziebrodzki, Łoziński, Stachurski, Sztarkel, Urbański i inni — tych imiona spotykamy na afiszach teatru Sztengla. Z obcych są tu: Szekspir, Sziller i inni sławni pisarze.

Można-ż się dziwić, że teatr taki mający repertoarz, teatr po większej części z nowych sił złożony, pod kierownictwem wzorowem odrazu pozyskał rozgłos i sławę jednego z lepszych teatrów polskich, a pod względem repertoarza niezaprzeczenie najlepszego?...

Sława ta nowego teatru ściągnęła do Stanisławowa panią Aszpergerową. Występy znakomitej artystki przekonały najbardziej niewierzących, że teatr prowincjonalny, który ją zadowolnił, musi mieć nie małą wartość artystyczną. Wówczas to pozyskała scena polska nową swą ozdobę: 5. maja po raz pierwszy na scenie polskiej dano *Niepoprawnych* Słowackiego. (*Idalję* grała pani Aszpergerowa, *Fantazego* pan Sielski, *Majora* pan Deryng.) Nowy liść przybył do wawrzynu zasług młodego dyrektora.

Polowanie na męża komedja Bałuckiego, o której z taką pochwałą mówią nasze pisma, jeszcze 3. kwietnia z. r. przedstawioną była w Stanisławowie, i została na repertoarzu. To więc, co Kraków teraz dopiero przedstawił, a Lwów przedstawić zamierza — to w teatrze p. Sztengla zalicza się do rzeczy znanych mu od roku! Nie jest że to dokładną ilustracją stosunku naszych teatrów do siebie?...

W maju przedstawiono po raz pierwszy nową komedję P. Stachurskiego p. t. *Chwasty* i w tymże miesiącu dano również nigdzie nie graną komedję A. Urbańskiego p. t. *Podlotek*. 4. sierpnia przedstawiono po raz pierwszy nowy dramat Bronisława Komorowskiego p. t. *Męczennicy* z entuzjazmem przyjmowany odtąd w każdem mieście; ale o nim nasze teatra stołeczne zgoła nic nie wiedzą!... Za dni trzy, bo 7. sierpnia dano po raz pierwszy na scenie polskiej dramat Dominika Magnuszewskiego p. t. *Rozbójnik salonowy*, którego jak *Otella* nie poważają się dać nasze teatra stołeczne. (Rolę *Augusta* grał p. Sielski, *Anieli* pani Lisikiewicz, *Ministra* p. Deryng.)

W grudniu *Wiejskie konkury* nowa komedja P. Stachurskiego...

Zarzucano mi srogość w ocenieniu teatru lwowskiego i krakowskiego; ale największy obrońca czy zdoła ich usprawiedliwić, porównawszy działalność scen, mających: artystów, subwencję, publiczność, krytykę — z teatrem prowincjonalnym, którego byt

zawisł od łaski losu, a spoczywa w ręku dyrektora, mającego tylko dobrą wolę służenia wedle sił krajowi?

Jeżeli bez niczego p. Sztengel zdołał swój teatr postawić na stanowisku, które zjednywa mu poszanowanie; jeżeli wprowadził na scenę polską arcydzieła dotąd krajowi nie znane, jeżeli w krótkim czasie swej działalności, dał niemal to wszystko, cokolwiek mają u siebie teatra stołeczne i oprócz tego pięć sztuk nowych, z których dopiero jedna weszła na scenę krakowską — pytamy: o ile więcej mógł by on zrobić, gdyby mu powierzono kierownictwo jednej lub drugiej sceny stołecznej, albo dano subwencję?...

Jakaż to różnica pomiędzy teatrem Sztengla, a sceną we Lwowie i Krakowie!... Pierwszy z nich jest szczerze narodowy — tamte dwa: mieszańcy... krakowski z francuzka, lwowski z niemiecka polski... Teatr Sztengla z zasady stara się o utwory nowe ojczyste, płaci za takowe 15% — Kraków ubiega się o nowości francuzkie, a z zasady nie wypłaca żadnej tantjemy. Pod tym względem już wyżej stoi teatr lwowski, bo tantjemę przyznaje; ale ponieważ autorowie, będąc najczęściej hrabiami, pieniędzy nie potrzebują, więc... pozostaje tylko „zasada.“ Teatr Sztengla kształci młode siły, i już dwóch aktorów dał teatrowi krakowskiemu (Dobrzański i Wolański)... nie pochwalą się tem teatra stołeczne! Moralność teatru Sztengla jest nieposzlakowaną... ale to zapewne tem się tłumaczy, że o nią łatwiej na prowincji, aniżeli w większem mieście!... Teatr Sztengla stara się pozyskać dla sceny ludzi z wykształceniem, a co w tej mierze robi Lwów i Kraków?...

Przestajemy, z dumą zapisując na tem miejscu, że sztuka dramatyczna polska ma choć mały kącik, gdzie uczczono jej świętość. Miejmy nadzieję, że dobroczynne światło dziś zaledwie tlejące rozleje się w przyszłości, i pozwoli nam dożyć tej uroczystej chwili, w której i scenom stołecznym będziemy mogli to przyznać, co teatrowi zostającemu pod kierownictwem pana Sztengla.

Dobry wybór zrobiło miasto Tarnów, zachęcając p. Sztengla do założenia w niem stałej siedziby swego teatru. Jesteśmy przekonani, że jak dotychczas, teatr ten nie zejdzie z drogi czysto narodowej, i że wypełni sobą braki, dające się uczuwać w teatrach naszych stołecznych. *P. Stachurski.*

Korespondencje.

Paryż — *20. lutego 1868.*

Otrzymaliśmy właśnie sprawozdanie wydziału Stowarzyszenia podatkowego z funduszów za rok 1866.

Stowarzyszenie podatkowe zawiązane w roku 1862 w cześć rocznicy 2. marca 1861 roku. Instytucja taka dawno się należała Polsce porozbiorowej; każde powstanie wyrzucało z kraju wiele kalek, którzy albo nie mogli pracować na chleb, albo przychodzili do tego stanu na starość; a i zdrowi zupełnie, przez długi czas pobytu na obcej ziemi — niszcząc się fizycznie na siłach przy niestosownej pracy, przeżywając lichy zarobek, albo oszczędzony grosz składając, bądź w ofierze na prace narodowe, bądź dorzucając do skarbnicy narodowej w czasach wypadków ważniejszych, na starość gdy już sił zabrakło do pracy, ręce opadły, i straszna nędza zajrzała im w oczy.

W czasie demonstracyj warszawskich i zresztą rozlanych po całym kraju, kiedy widocznem było, że powstanie nowe jest nieuniknionem, starzy weterani, przeszedlszy już tyle kolei i zawiodlszy się w najpiękniejszych i na pozór najpewniejszych nadziejach, na wypadek nieudania się powstania, zawiązali Stowarzyszenie, któreby przyjęło pod swe opiekuńcze skrzydło rannych i kalek, a zarazem zaopatrzyło w chleb starych, którzy już pracować nie mogą, i którzy w swoim czasie oddali się w ofierze ojczyźnie.

Następnie Stowarzyszenie zauważyło potrzebę zaopiekowania się biednemi sierotami po zmarłych emigrantach, przychodząc im z pomocą w umieszczaniu w zakładach naukowych polskich; nareszcie teraz widząc młodzież garnącą się do zakładów wojskowych, a pozbawioną środków ponoszenia znacznych kosztów jakie tam są wymagane, i ten wydział pod swoje ramiona przyjęło.

Ale, nie mówiąc już o starszych, emigranci z roku 1831 są w takim wieku, że liczba kandydatów na emeryturę jest ogromna, dzieci sierót dużo, Stowarzyszenie tylko w małej cząstce potrafiło dotąd zaspokoić te naglące potrzeby: Chleb i Cześć zasłużonym.

Oto cyfry które nas pouczą o stanie Stowarzyszenia. Weteranów 52. Weźmijmy kilka imion.

Seweryn Goszczyński, kapitan, lat 64, jeden z najdzielniejszych belwederczyków, znakomity poeta narodowy, zdrowie zniszczone.

Heltman Wiktor, lat 70, słuch utracony, więzień stanu z roku 1822 niezmordowany w sprawach emigracyjnych, historyk.

Raczyński Józef, podoficer, lat 82, ranny.

Hubarewicz Kazimierz, major, lat 76, ranny.

Lissowski Józef, podoficer, lat 68, lewa ręka złamana.

Janowski J. N., lat 64, referent komisji skarbu i bibliotekarz Towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk; podczas powstania listopadowego redaktor główny „Gazety Polskiej,“ autor wielu broszur na emigracji, kaleka, noga złamana.

Różycki Karol, pułkownik, dowódca jazdy wołyńskiej, 70 lat. i t. d. i t. d.

Czyż obowiązkiem narodu nie jest takich weteranów wspierać i zapewnić im choć jaką taką pomoc? a ilu to czeka, prawie bez chleba?...

W szkole Batignolskiej umieszczono kosztem Stowarzyszenia, 6 chłopców, w domu św. Kazimierza 5 dziewczynek, w szkołach wojskowych 2 uczniów.

Razem wydano w roku 1866 . . . . . . 10.097 fran.
Dochód z roku 1866 przyniósł . . . . . 15.735 „
Odlicza się czwarta część na kapitał żelazny . 3.934 „
Pozostało remanentem na rok 1867 z remanentem poprzednich, włącznie 8.696 franków.

Remanent ten wysoki pozostawia się w celu zabezpieczenia się na lata nadzwyczajne, kiedy podatek może się zmniejszyć, bo jest dobrowolnym.

Kapitał żelazny wzrósł do 22.076 fr. a że w 67 roku przybyło jeszcze ze 4 tysiące, wynosi dziś 26.000 doliczając zapis Brzezińskiego 10.000 i Dobrzańskiego 6.000 i inne zapisy wieczyste 36.100 — razem 78 tysięcy.

Przychód w bieżącym roku jest większy, gdyż liczba członków powiększyła się o 380, i dziś liczy Stowarzyszenie Podat-

kowe 1382 samych emigrantów, przedewszystkiem zamieszkałych we Francji. W kraju Stowarzyszenie liczy: w Poznańskiem pięciu, w Krakowskiem dwóch, w Galicji wschodniej jednego i pod zaborem moskiewskim kilku. Obecnie przybyło dwudziestu kilku z Poznańskiego.

Ale bo kraj jest mało i źle obznajomiony z pracami emigracji i nie dowierza im, choćby one były tak jasne jak Stowarzyszenie podatkowe. Emigracja i w tym razie wyręcza kraj, oddając Chleb i cześć zasłużonym, którego to czynu kraj nie może dopełnić, a liczy się to do najpierwszych jego obowiązków.

Obracając tak znacznemi kapitałami, bo dziś już przeszło sto tysięcy posiada, Stowarzyszenie zagwarantowało się rozmaitego rodzaju ostrożnościami; naprzód złożeniem kapitału w *Credit fonsier de France*, i naznaczając potrójną kontrolę. Wydział tymczasowy zbierający pieniądze do niczego się więcej nie miesza, osobne komiteta rozporządzają pieniądzmi według przepisów, i Rada nadzorcza, kontrolująca wszystkich.

Członkowie wnoszą roczny podatek stosownie do możności i chęci; bardzo wiele po franku tylko, i w czasie kiedy im to jest najdogodniej. Wkładka każdego jest wyrażona w sprawozdaniu, jak niemniej i rozchód poszczególnie.

Ofiary jednorazowe wynoszą 2.309 fr. rocznie; są rozdawane stosownie do żądania dawców, lub gdy tego nie ma, wedle uwagi Wydziału tymczasowego, i na koszta administracji.

Powrócił obecnie z wycieczki do Południowej Ameryki ksiądz Karol Mikoszewski, były członek Rządu Narodowego w 1863 r. a następnie jedna z czynniejszych figur na emigracji. Widząc jednak, iż brak środków staje na przeszkodzie do rozwoju prac emigracyjnych, że kraj po klęskach strasznych, prac emigracyjnych zasilać nie może, że gościnna Francja dużo robi rozgłosu, ale właściwie mało wspiera, i w pracach swoich napotykając liczne przeszkody, udał się na pielgrzymkę głosić prawdę o nieszczęściach Narodu, jego pracy, oraz żądać pomocy.

Nie miał wprawdzie ksiądz Mikoszewski żadnego upoważnienia do tej misji, i tylko sumienność, gorliwość, a nakoniec odpowiednie użycie do potrzeb narodowych zebranych na ten cel pieniędzy, może go usprawiedliwić i zjednać mu szacunek.

My tu notujemy fakt, bo jest korzystny dla nas. Już z tego co ksiądz Mikoszewski zrobił widzimy jak wielką sympatję obudza sprawa polska na całej kuli ziemskiej, gdziekolwiek cywilizacja dosięgła. Ksiądz Mikoszewski, w charakterze emigranta Polaka, nie zaopatrzony w żadne świadectwa, nie dający żadnej rękojmi poszedł między ludy. W Hiszpanji misja jego nie udała się, w Portugalji serdecznie witany, w Brazylji cieszył się powodzeniem, a gdy objeżdżał południowe Rzeczpospolite Amerykanów, przyjmowano go z uczuciem i zaufaniem. Przywiózł album, w którem obywatele Ameryki wyrazili swoje sympatje dla Polski, i rezultat w pieniądzach przechodzący sto tysięcy franków. Jeżeli zważymy na nieurzędowy charakter emisarjusza, szczycić się nam wypada tak wielką sympatją, jakiej sprawa nasza nabrała za Oceanem pośród wolnych ludów.

W Londynie rozpoczęło wychodzić nowe czasopismo polskie p. t. „Krakus.“ Nie jest jednak drukowane, jeno litografowane.

A. D.

Rozmaitości.

* Aleksander Dumas za wszystkie swe pisma otrzymał 19,800.000 fr. Z wszelką pewnością, razem wzięci autorowie polscy, nie otrzymali takiej sumy, pomimo, że wielu pomiędzy nimi jest wyższych o całe niebo od p. Dumasa.

* Alfred Tennyson poeta angielski, za umieszczenie w piśmie „Good Words“ dwunastu nie wielkich swych poezyj, otrzymał 20.000 złr.

* W Londynie temi dniami ma być odegranem wielkie oratorjum kompozytora p. Tolhurst p. t. „Rut.“ Świat muzykalny angielski wiele sobie rokuje po tem oratorjum.

* Flamandczycy, mały ludek w Belgji, z pochwały godną troskliwością starają się o zachowanie i wzrost swej narodowości. Pomiędzy innemi, mają swój teatr w Brukseli, którego dyrektorem jest p. Mülders.

Niedawno podczas przedstawienia dramatu *Frans Ackerman* robotnicy flamandzcy ofiarowali p. Warnotse artyście, na którego benefis była przedstawianą sztuka, dziękczynny adres rozpoczynający się od słów: „Jesteśmy synami ludu, i przychodzimy jako wysłańcy klasy roboczej...“

* Boildieu'go Biała dama dawaną była w Opera comique w Paryżu po 1166 raz!

* Utalentowany pisarz francuzki Teodor Barriér napisał czteroaktową komedję p. t. *Le papa du prix d'honneur* i *Le Crime de Faverne* — dramat w 5 aktach. Oba utwory przedstawiano w Paryżu. Dramat przyjęła publiczność bardzo dobrze — komedję chłodno.

* W Berlinie pewien bogaty radca finansowy zaręczył swoją jedynaczkę z młodym lekarzem, któren jednak nie przypadł do serca narzeczonej, i natychmiastową otrzymał od niej odprawę. Ojciec zaś będąc pewien swego szczęścia — odesłał jeszcze tego samego wieczora do dwoch najbardziej rozpowszechnionych dzienników anons, donoszący światu o zaręczynach swej córki. Dodwiedziawszy się atoli nazajutrz o postanowieniu jedynaczki, chciał cofnąć doniesienie. Zapóźno! dzienniki już były wydrukowane... Rad nie rad musiał pan Radca zakupić cały nakład — co mu nie przyszło z łatwością! i kosztowało dość drogo.

* (Statystyka szkół ludowych w Europie.)

W Anglji liczono między 1000 nowożeńcami od 1841 do 1845, 408 nieumiejących się podpisać — od roku 1861 do 1863 już tylko 289. Tamże w roku 1865 liczono na 1000 rekrutów 218 nie umiejących ani pisać, ani czytać, 106 umiejących tylko czytać, a 676 umiejących czytać i pisać. W roku 1859 było 58.975 szkół z wykładami niedzielnemi, do których uczęszczało 2,535.462 dzieci, 33.872 szkół poniedziałkowych, do których już po większej części dorosli uczęszczali w liczbie 2,411.554, — 2036 szkół z wykładami wieczornemi, do tych uczęszczało 80.966 dzieci. — W szkołach w zakładach ubogich pobierało 30.654 dzieci początki, a w 192 szkołach dla ubogich krajowych udzielano 20.909 dzieciom początków. — Ogółem 5,079.545.

W Austrji liczono roku 1861, 16.065 szkół ludowych — w tych 33.693 nauczycieli i 1,817.758 uczniów — w roku 1864 17.817 takich instytutów, 34.145 nauczycieli i 1,860.336 uczniów.

W Bawarji było przy końcu roku 1865 i 1866, 8197 — szkół między temi 5525 katolickich, 2553 protestanckich i 121 izraelickich (6774 nauczycieli i 816.091 uczniów).

W Belgji liczono przy końcu roku 1863, 4006 szkół zostających pod kontrolą rządu. Między nimi 3314 utrzymymanych wspólnym kosztem rządu i gmin i 1658 szkół nie będących pod dozorem rządu. Liczba uczniów wynosiła w tymże roku 544.761.

W Hiszpanji, gdzie szkoły równie są wspólnym kosztem rządu i gmin utrzymywane, a wrazie gdy gmina nie może wspólnie utrzymać, sam rząd utrzymuje szkołę, tak że każda gmina licząca 500 głów musi mieć szkołę męską i żeńską, wychowanie elementarne bardzo mało rozwinięte; w roku 1861 liczono między 10.000 mieszkańcami tylko 1996, którzy czytać i pisać musieli, 450 którzy tylko czytać a 7554 którzy ani czytać, ani pisać nie umieli.

We Francji liczono od 1827 do 1829 na 100 rekrutów 55 nie umiejących ani czytać ani pisać, od roku 1860 do 1862 zmniejszyła się ta liczba do 29, od 1851 do 1854 przypadało na 100 oskarzonych 46 nie umiejących ani czytać ani pisać, od roku 1859 do 1862 tylko 40. Z nowożeńców przypadało między 1855 a 1858, 39 a roku 1859 i 1862, 37

nie umiejących ani pisać ani czytać. W roku 1864 liczono na 37.500 gmin, 34.666 takich, które jedną albo więcej szkół posiadali. Suma ogólna szkół w tymże roku było 38.386, z których 33.767 były pod zarządem świeckich nauczycieli, 1581 świeckich nauczycielek, 1066 pod zarządem mnichów, a 1072 mniszek. Między temi 38.306 instytutami było 2752, gdzie naukę bezpłatnie udzielano. Państwo wypłaciło roku 1863 — 37,756.543 fr. subwencji. Liczba uczniów, 2,399.293.

W Grecji liczono roku 1860, 972 szkół początkowych, a w tych 56.800 uczniów.

W Holandji w 1860 było 3539 szkół. Liczba uczniów 400.907. Subwencja dla szkół elementarnych przyniosła 7,000.000 franków.

We Włoszech było między rokiem 1862 a 1863, 29.422 szkół elementarnych, do których uczęszczało 1,109.224 uczniów. Subwencja wynosiła 12,000.000 franków.

W Prusiech było przy końcu roku 1864, 25.120 szkół początkowych. Nauki w nich udzielało 36.819 nauczycieli i nauczycielek. Liczba uczniów 2,938.679.

W Polsce było roku 1862 na 100 mieszkańców 7 umiejących pisać i czytać, 2 wyżej wykształconych, a 91 bez początków elementarnych.

W Saksonji liczono roku 1860, 1741 szkół i 243.934 uczniów.

* Cena gruntu w Paryżu, szczególniej w pobliżu teatrów wzrosła niezmiernie. W bliskości teatru francuzkiego i Palais Royal, tam gdzie nowe przejście w stronę nowej opery ma być otwarte, poprzedawano kawały ziemi pod mające się wystawić budynki po cenie od 1.150 do 1.800 franków za metr kwadratowy; blizko samej nowej opery po 900 — 1.050; przy teatrze Wodewilu, przy zbiegu bulwaru i ulicy Chausée d' Antin po 1.000 — 1.250; około teatru Gaité, płaci się za metr kwadratowy po 450 fr.; na bulwarze św. Michała, bliżej Odeonu po 526. W dzielnicy Passy, gdzie niedawno założono mały teatrzyk pod imieniem Rossiniego, za metr gruntu kosztującego przed trzema laty po 20—30 fr., płacą obecnie po 30—47 fr.

* Wystawa przedmiotów do żeglugi powietrznej należących, ma być otwartą w Londynie w czerwcu r. b. Spodziewają się za jej pomocą posunąć znacznie kwestję żeglugi powietrznej, do której urzeczywistnienia wiele wynalazków oddzielnie się tułających, daje nadzieję. Ogłoszono konkurs z nagrodą 50ciu funtów szterlingów na wynalezienie sposobu komunikacji pomiędzy dwoma balonami znajdującemi się w powietrzu.

* Temu trzy do czterech lat pan Tarlier, profesor historji i ekonomji polskiej przy uniwersytecie wolnym w Brukseli *l'université libre,* założył Towarzystwo oświaty z panem Bulsem, człowiekiem młodym, z profesji jubilerem. Towarzystwo to, nie rozciąga swego działania tylko na Brukselę, ale wzięło sobie za zadanie zakładać po miastach osobne Stowarzyszenia niezależne z osobnym zarządem, rozwijające się o własnych siłach, a wiążące się razem przez Zarząd centralny, rezydujący w Brukseli, którego prezesem jest pan Tarlier, a sekretarzem pan Buls. Do spełnienia tego celu używa Towarzystwo dwóch środków: w y k ł a d ó w p u b l i c z n y c h i c z y t e l n i; głównie zaś pracuje nad wykładami publicznemi, które co tydzień bywają odczytywane. W razie braku dostatecznych sił miejscowych, Zarząd centralnego Towarzystwa w Brukseli wyznacza ludzi poczęści młodych, którzy z całą gotowością wybierają się do odleglejszych nawet miast, i po odczytaniu wykładu wracają do swych zatrudnień. Przedmiotem wykładów publicznych są: nauki przyrodzone, nauka chemji, ekonomji politycznej, historji i astronomji.

* Bursztyn jak wiadomo, znajdowany bywa na pobrzeżach morza Bałtyckiego około Gdańska, gdzie go burza każda w małych i większych kawałkach wyrzuca. Zbiór bursztynu oddany jest przez rząd w dzierżawę, której obecnie 12-letni termin się kończy. Jeśli się nie mylimy, dzierżawcy płacą rocznie 3000 talarów. Zajmowanie się tym przemysłem wyrobiło przekonanie, że ponieważ z łożyska morskiego wzruszonego skutkiem burzy bursztyn dostaje się na brzegi, to w niem muszą być pokłady tego produktu, prawdopodobnie i na pobrzeża się rozciągające. Spotykane daleko nieraz od brzegów morza, nawet w okolicach Ostrołęki w Królestwie Polskiem, kawały bursztynu kopalnego każą się domyślać, że poszukiwania bursztynu możnaby czynić w sposób całkiem górniczy. Jest też wszelkie prawdopodobieństwo, że jeszcze w r. b. specjaliści się tem zajmą w kraju pruskim, zkąd, jeśli rzecz pomyślnie pójdzie, przemysł ten w Królestwie Polskiem rozwinąć się może. Wiadomą przecież jest rzeczą, że jeszcze Fenicjanie po bursztyn w północne strony Europy się udawali; przez kilka tysięcy lat corocznie bursztyn zbiera się tam jeszcze — i niezawodnie choćby pokłady jego dziś mniejsze już były znacznie, niż dawniej, nie są jednak wyczerpane, skoro produkt ten ciągle jeszcze zbierany bywa.

* Tracenie dzieci w Chinach. Dziennik francuzki „Esperance,“ podaje następujące szczegóły o morderstwie dzieci w Chinach. Każdy poddany niebieskiego państwa ma prawo po upływie jednego roku pożycia z żoną, porzucić ją i poślubić sobie drugą. Opuszczona żona posiada prawo życia i śmierci nad swemi dziećmi, których krocie giną corocznie w Chinach śmiercią ręką matki zadaną. Prawo cierpi te zbrodnie i to potworne wyzucie się z najświętszych uczuć macierzyństwa. Istnieje nawet w Chinach rzemiosło tracenia dzieci skazanych na śmierć przez nieludzkie mątki, a jedna kobieta chełpiła się tem nawet, że wrzuciła 600 dzieci do morza. Dla powstrzymania tych okrucieństw, utworzyli Francuzi już oddawna w Hong-Kong religijne stowarzyszenie dla ratowania tych nieszczęśliwych dzieci, pod nazwą „Oeuvre de la sainte enfance.“ Głównem siedliskiem jego jest miasto Chartres we Francji. Płaci ono za każde dostarczone dziecko po 1 franku, i opiekuje się niemi wedle możności. W środkowych Chinach przejeżdżają po miastach zrana oddzielne wozy, do których matki jawnie pakują dzieci przeznaczone na stracenie. Głównym powodem do tego jest nędza, bo zdarza się często, że matki oddając towarzystwu swe dzieci, żądają zwrotu gałganów, w których przynoszą zawinięte niemowlęta.

* Niedzielny wykład pana Ł. Tatomira „O Kaźmierzu Wielkim“ niezaprzeczenie należy do najlepszych w szeregu tegorocznych wykładów popularnych. Odznaczały go: opracowanie pod każdym względem staranne i wygłoszenie, któremu nic zarzucić nie można.

Wykłady p. Ł. T. (ma być ich dwa jeszcze) ogłosi drukiem księgarnia nakładowa K. Wilda.

(**Mody**.) O p i s a n i e r y c i n y.

Postać pierwsza. Kapelusz fanszonik z aksamitu jasno-fioletowego z przodu garnirowany ryszką z gipiury czarnej o guzikach z jasno-fioletowego aksamitu i złote kółka spadające na czoło.

Wielka kosa z tego samego aksamitu okrywa kapelusz i formuje wstążki do wiązania. Na zewnątrz obszyta gipiurą zakończającą kapelusz. Gipiura formuje dwie róże na końcu kapelusza połączone złotem kółkiem.

Polonezka z czarnego aksamitu spięta na boku i z przodu otwarta. Rękaw z przodu otwarty, pozwala widzieć podszewkę z *gros de France* (gęsta jedwabna materja ziarnkowana). Wszystkie brzegi garnirowane galonem z pasmanterji i czarnych paciorek. Na ramionach i u dołu frendzle z długich czarnych pereł. Spodnica z *gros de France,* której dół jest garnirowany szlakiem z pasmanterji czarnej i obszyty długim sznurem jedwabnym. Spodnica nieco podniesiona z każdej strony formuje fałd pod pasmanterją z paciorek. Spodnica z fioletowej tafty z tasiemką pasmanterji oznaczającą obrąbek. Czarne atłasowe buciki.

Postać druga. U b r a n i e d o w y j ś c i a i n a w i z y t ę. Pierwsza spodnica z czarnego jedwabiu; druga suknia kroju *empire* w atłasowe pasy zielone i czarne. Palto nawpół w stan wpadające bez rękawów z *poult de soi,* jak pierwsza spodnica z klinami z atłasu.

Kapelusz czarny aksamitny z egretką i djademem ze stali. Wstążki do wiązania aksamitne.

(*Z magazynu mód Władysława Lewickiego.*)

Dodatek: **kolorowana rycina mód.**

T R E Ś Ć:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller.

Druk Kornela Pillera.